

- Autor: **Rudzki Jan**
- Tytuł: **95-16**
- Wydawnictwo: MON
- Seria: seria Labirynt
- Rok wydania: 1962
- Nakład: 30000
- Recenzent: [Tomasz Kornaś](#)
- Recenzja: 17/2009



Dowody zbrodni za szpulach

"95-16" Jana Rudzkiego, to z jednej strony dość zgrabnie napisany kryminał, z drugiej niestety zbyt szybko i zbyt wyraźnie wskazany został w nim jeden z czarnych charakterów, co w sposób istotny zmniejsza radość płynącą z lektury nie czyniąc jej na szczęście nudną.

Rzecz jest typowa dla części kryminałów wydanych w serii labiryntowej. Fabuła ogniskuje się wokół spraw związanych ze zbrodniczą przeszłością niektórych obywateli -- jak się wtedy pisało -- NRF, czyli Niemieckiej Republiki Federalnej. Rzecz zaczyna się tak: dziennikarz z Wrocławia Jan Szel otrzymuje list z owego enerefu, od człowieka z którym przed kilkunastoma laty siedział w obozie koncentracyjnym. W liście tym stary znajomy sugeruje, że wpadł na trop pewnej poważnej afery i prosi go o pomoc. Dziennikarz wyjeżdża więc do enerefu, ale przybywając na miejsce dowiaduje się, że przybył za późno. Autor listu powiesił się. Dziennikarz szybko dochodzi do przekonania -- czego nietrudno się domyślić -- że ta śmierć bynajmniej samobójczą nie była. Zaczyna swoje prywatne śledztwo, dość zabawne trzeba przyznać -- jedynym jego sojusznikiem (a i to słabiutkim) jest miejscowy pijaczyna, wrogów i niechętnych śledztwu osób (i to ustosunkowanych) nie brakuje, ale dzielny Jan Szel z Polski działając na wrażym terytorium, w kompletnie nieznanym sobie obcym kraju rozwiązuje zagadkę, wskazując winnych różnych potworności.

Jako, iż rzecz dzieje się w enerefie nie mamy w powieści, żadnych opisów PRL-owskiej rzeczywistości, żadnych gastronomicznych perełek. Ale jest coś co w znacznym stopniu rekompensuje te braki. Kapitalny jest opis sytuacji kiedy dzielny Jan Szel postanawia zdobyć niepodważalne dowody zbrodniczej działalności jednej z osób. Osobnik ów w prywatnej rozmowie do wszystkich niecności się przyznał, ale jednocześnie zadbał dość perfekcyjnie o alibi w postaci zeznań kilku niezależnych od siebie - fałszywych rzecz jasna - świadków, czym nie omieszkał się przed Szelem pochwalić. Ten wziął gościa sposobem -- zaprosił go na pożegnalny poczęstunek i podczas uczyty nagrał jego zwierzenia. Z dzisiejszej perspektywy

rzecz wydaje się prosta jak konstrukcja cepa (wystarczy przypomnieć sobie choćby wspólną akcję Tusk Vision Network z panią Beger z Samoobrony), ale nagrać kogoś pół wieku temu to była poważna operacja logistyczna. Rudzki opisał ją ze szczegółami i opis ten jest naprawdę uroczy.

Otóż Szel najpierw udał się do sklepu ze sprzętem elektrotechnicznym, aby wypożyczyć sprzęt. Za owo wypożyczenie uiścił stosowną kaucję (dla obcokrajowca podwójna stawka) i otrzymał "niedużą brązową walizkę" plus mikrofon, który -- jak pouczył sprzedawca - "należy trzymać od 20 do 50 centymetrów od źródła głosu". Do tego dokupił jeszcze 20 metrów cienkiego drutu. W pensjonacie w którym mieszkał instalował aparaturę w taki sposób, aby jego rozmówca w niczym się nie zorientował: "przyniesiony drut poprowadził w dół, do górnej ramy drzwi, a stamtąd wzdłuż framugi na podłogę. Widoczną nad drzwiami część drutu zaproszył starą farbą i pyłem. Wpychając przewód za listwę, doprowadził go do łóżka i podłączył do magnetofonu". Sam magnetofon przykrył kocami. Przeprowadzając swoją akcję ostro kombinował bo taśma starczała tylko na 30 minut nagrania ("zerknął nieznacznie na zegarek: szpule magnetofonu kręciły się od 15 minut"). I w taki oto przemyślny sposób zdemaskował opryszka.

Podsumowując -- jest to powieść napisana dość zgrabnie, choć wady konstrukcji samej fabuły są dość wyraźne. Ale wszak nie za zgrabne i logiczne fabuły lubimy milicyjne kryminały.